Nr. 34. Lwów, — 1899 r. Wydawnictwa Rok XXI. Serya zmieniona.

GONIEC i ISKRA.

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów: 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów: 10. ct. w a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i pierwszego dnia każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pisma humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek**, wychodzące dwa razy na miesiąc: 8. i 23.. oraz **bezpłatne premia.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem i premiami** wynosi. tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr.. rocznie 8 złr **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów »Gońca i Iskry«. kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki*. W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie. we Francji i innych krajach. oraz w Ameryce północnej 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 25 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodnie. przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23-** Z Ameryki i z Brazylii najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi lub milrejsami *w listach rekomendowanych*, albo także przekazem pocztojwym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora. W dnie wychodzenia pism, gdy przypada niedziela, lub święto — numera wychodzą po niedzieli, lub po święcie.

Właściciel i naczelny redaktor: **M. Dzikowski-Chamski.**

Od wydawnictwa.

Numera 33. »Gońca i Iskry», oraz »Wesołego Kurjerka«, których szanowni prenumeratorowie nie otrzymali z przyczyn niezależnych od redakcji, rozesłane będą oddzielnie przyczem nadmieniamy, że uzupełnienie w ogóle treści w tych numerach zarządziliśmy tak, aby ona stanowiła całość i nie posiadały charakteru przemijającego.

Juliuszowi Słowackiemu

w pięćdziesiątą rocznicę zgonu.

I oddała cię ziemi - - popiołem
Garstka druhów w ów dzień przed pół [wiekiem,
Byś sam leżał ze sławy aniołem,
Sam, daleki w tem mieście dalekiem.
Lecz choć proch twój pozostał tam dumny,
Anioł sławy twej dawno wstał z trumny.

Jak ogromne z za morza okręty,
Do tych »chleba zjadaczy« powrócił;
Jak duch mocny, na skrzydłach rozpięty
Objął dusze — bo pieśń twoją nucił,
I z twej pieśni miał wieniec u głowy,
Tak ognisty, złocisty, tęczowy...

* * *

Jeśli miłość gdzieś wzbiera i płynie,
Jak kaskada szumiąca i czysta,
Jeśli gdzieś w przypomienia godzinie
Do kochanki zatęskni lutnista,
Twoich westchnień brzmi szept pełen [czaru
Z po nad wody błękitnej Aaru.

Jaśli z bólu gdzieś serce zawyje
Pod strasznymi Allacha ciosami
I zbieleją nagle włosy czyje,
Jako ojca nad dzieci trupami —
Jeśli wstyd wnętrznościami zatarga,
To twój jęk i szyderstwo i skarga.

* * *

Płyną fale, hej! płyną do morza,
Jasne Gopła zwierciadło się mieni,
Czy z mgły nocnej wyłania się zorza,
Czy dzień kona z zachodu czerwieni —
Wszędy sieją harfy twojej struny
Srebrne sny i ciskają pioruny.

Nie ma głazu i nie ma kamienia
Gdziebyś pieśnią, jak w pierś nie ude- [rzył,
Ani głębi takiej, ani cienia,
Których tęczą swych dum byś nie [zmierzył.
Kędy spojrzeć — rosą brylantową
Myśl twa błyska i lśni twoje słowo.

* * *

I oddała cię ziemi — popiołem
Garstka druhów w ów dzień przed pół [wiekiem,
Byś sam leżał ze sławy aniołem,
Sam, daleki, w tem mieście dalekiem...

Ignacy Baliński.

Myślomierz.

Wśród rozlicznych odkryć doby obecnej w różnych dziedzinach wiedzy, mamy do zanotowania znakomity wynalazek Marka Baldwina, Amerkanina, profesora psychologii w uniwersytecie w Princeton, prezesa narodowego stowarzyszenia psychologicznego. Dla badaczy tajników duszy ludzkiej, wynalazek prof. Baldwina jest nadzwyczaj cennym. Dotychczas nauka psychologii musiała opierać się na przypuszczaniach tylko, obecnie odkrycie prof. Baldwina dozwala zbadać, z matematyczną niemal ścisłością każde, najbardziej subtelne nawet, drgnienia myśli ludzkiej.

Pierwszem zadaniem Baldwina było oznaczenie ozasu, potrzebnego do odczucia jakiegokolwiekbądź zmysłowego wrażenia, np. dźwięku.

Doświadczenia podobne w następujący odbywały się sposób:

Jeden z uczniów prof. Baldwina umieszczał się w pobliżu dzwonka, połączonego prądem elektrycznym z zegarem, zawieszonym na ścianie. Usłyszawszy głos dzwonka, wykonywający doświadczenie, przyciskał znajdujący się przed nim guzik, przerywając prąd i zatrzymując zegar, wprawiony poprzednio w ruch za pomocą dzwonka.

Tym sposobem, oznaczono dokładnie ilość czasu, upłynionego pomiędzy dźwiękiem, a przyciśnięciem guzika.

Rzecz prosta, iż czas ten w bardzo znacznej mierze zależnym jest od wrażliwości danej osoby i tak naprzykład: jeżeli uwaga danej osoby skierowaną została wyłącznie na poruszenia dzwonka i palec machinalnie przyciskał guzik, ilość czasu, upływającego pomiędzy jedną czynnością, zwiększała się znacznie.

Jeżeli przeciwnie, osobnik uwagę swą zwracał na przyciśnięcie guzika, uchem tylko łowiąc dźwięk, ilość czasu zmniejszała się znacznie. Prof. Baldwin z tych pierwszych doświadczeń wyciągnął wniosek, że ludzkość mogłaby być niejako podzieloną na trzy kategorje: 1) ludzi, którym wrażenia przedstawiają się pod postacią t. zw. wyobrażeń mięśniowych, 2) otrzymujących wrażenia, jako obrazy wzrokowe i 3) jako dźwięki. Łatwo zrozumieć, jakie usługi podobny podział oddać może przy klasyfikowaniu dzieci w szkołach Obrazy wzrokowe i dźwiękowe zdarzają się zwykle u osobników, obdarzonych umysłem czynnym i żywym, wyobrażenia mięsniowe zaś towarzyszą najczęściej umysłom niezbyt rozwiniętym i usposobieniom flegmatycznym. Do tych ostatnich należałoby stosować odpowiednią metodę kształcenia.

Aby zbadać, czy dana osoba jest bardziej wrażliwą na wrażenia słuchowe, czy też mięśniowe, prof. Baldwin wynalazł przyrząd, który nazwał »kluczem ustnym«. Dzięki temu aparatowi, za pomocą oddechu jedynie przerwać można prąd i zatrzymać zegar, w sposób, o którym mówiliśmy powyżej. Pięciu uczniów poddało się doświadczeniu z rezultatem bardzo dodatnim. Każdy z osobników najszybciej odpowiadał na te obrazy, które najbardziej przypadały do jego usposobienia. Ogólnie biorąc, o wiele większą jest ilość osób, reagujących na wyobrażenia mięśniowe, aniżeli na obrazy wzrokowe. Najciekawszemi z pomiędzy doświadczeń prof. Baldwina, są mające na celu badanie osłabienia pamięci. Metoda ta dzieli się na trzy części — pierwsza z nich, nazwana metodą reprodukcji, polega na tem, aby wykonywający doświadczenie opowiedzieli, bądź piśmiennie, bądź ustnie, cośkolwiek, co było mówione dawniej. Jest to metoda ogólnie stosowana w szkołach. Druga, metoda porównawcza, polega na rozpoznaniu jakiegoś przedmiotu, jako indentycznego z przedmiotem widzianym dawniej. Trzecia, metoda wyboru, zasadza się na okazaniu danej osobie pewnej ilości przedmiotów i wyboru z pomiędzy nich tych, które już były widziane przez wykonywającego doświadczenie.

Aby to sprawdzić, pokazano całej klasie kartony różnych rozmiarów i rozkazano: 1) odtworzyć ołówkiem z pamięci kwadraty tychże rozmiarów, co okazane poprzednie i to z przerwami 1, następnie 10, 20 i 40 minut; 2) orzec, czy nowa serja kwadratów, przedstawiona klasie, różni się rozmiarami od widzianych poprzednio i 3) wybrać pomiędzy przygotowanymi w tym celu kwadratami te, które rozmiarami swymi najbardziej zbliżały się do typu widzianego poprzednio.

Jak widzimy, wszystkie trzy metody zastosowane zostały jednocześnie niemal i wykazały, że w czasie pierwszych dziesięciu minut pamięć działa słabo: pomiędzy 10-ciu, a 20-ma minutami dopisywała o wiele lepiej, lecz po upływie 40 minut nikła niemal zupełnie.

Jeżeli wyobrazimy sobie ten podział czasu za pomocą linii krzywych, to każda z linii tych wykaże mniejsze lub większe zaburzenia pamięciowe, gdyż przy powyższych doswiadczęniach, wymagamy zawsze pewnego wysiłku pamięci.

Należy również wziąść pod uwagę i inne czynniki, jak np. poczucie odpowiedzialności, jaką przy podobnych doświadczenlach przyjmuje się na siebie i t. p.

Badania nad przypomnieniem wrażeń dały równie zadawalniające rezultaty. Już od pewnego czasu przypuszano, że posiadamy pewien specjalny zmysł odczuwania zmian powietrza. Doświadczenia, prowadzone w Priuceton, przypuszczenie to stwierdziły. Prof. Baldwin sprawdził, iż posiadamy w rękach np punkty, zupełnie niewrażliwe na zimno, a wrażliwe na gorąco i na odwrót. Prof. Balhwin wyciągnął stąd wniosek, że w ciele znajdują się dwa różne zmysły odczuwania temperatury gorącej i zimnej. *l. Z.*

WESOŁY DZIEŃ.

Obrazki z cienia

Władysława Orkana.

Scieżyną wąską, wiodącą krzywemi liniami w górę, wśród rozścielających się pustką dokoła ugorów, wspinają się osłabieni ludziska, zmizerowani, wychudli, nędzni... Idą po parze, lub pojedynką, potrącani, z wysiłkiem uginają kolana pod ciężarem torb i tobołków różnych wielkości, przewiązanych szarą płachtą przez ramiona i opadających ciężko na plecy. Każdy dyszy piersią całą i wyciąga naprzód z wysiłkiem szyję, którą gniecie węzeł zawiązanych końcow grubej łoktusy. Wola każdego walczy ostatkiem sił z przewieszonymi ciężarami, które odciągają wstecz... Idą starcy, kobiety i wyrostki. Ostatnich z nich prowadzi jakaś siła, zrodzona z niezroumiałej konieczności. Ciężar, obwisający aż do połowy chudych, dziecięcych postaci, kieruje nim i wodzi na wszystkie strony. Zdaje się, że niejeden padnie lada chwila, chwieje się, słania, staje, chlipie powietrze i dalej rusza za innymi... Nie zliczyć krótkich spoczynków, które stwarzają dziwną siłę w tych dziecięcych starcach. Jeszcze to od ziemi nie odrosło, a już je ciężar do ziemi przygniata... I nie uwierzyć, że to własna karm ich przygniata, że może w myśli już naprzód widziany wypieczony chleb, dodaje im sił do dźwigania ciężkiego ziarna, którego wielki brak w chałupie.

— Życie roślinę pędzi w górę, człeka do ziemi gniecie. Bo taka Opatrzność boska i nic więcej... — mówią starzy, a młodzi od starych uczą się rozumu.

— Nie inaczej — powtarzają — nie inaczej... Inaczej nie będzie...

Idą schylone, nikłe postacie ku Wysokim Groniom. Idą, jak karłowate, pokutnicze Syzyfa potomstwo, które toczy przed sobą konieczność kamienną—życie.' W niejednej twarzy zapamiętałość straceńca zaschła w znieruchomiałości zaciśniętych warg, niejedne oczy błyszczą świeżą łzą, lub stają szklanne rozpaczą przed życiem, jak przed otwartym grobem, niejedna twarz uśmiechem okoli się gorszym od łez, uśmiechem nagrobnego filozofa — ale wszystkie oblicza mają jednaką skamieniałość mumicznych czaszek: czarną skórę, przyschniętą na kości i ze wszystkich widnieje jeden i tensam: wieczny, utajony ból...

Idą pustymi ugorami ścieżyną, znikają w potokach, przecinających w poprzek strome działy, wyłażą znów po jednemu i dalej pną się ku górze, gdzie już poczynają czernieć jałowce i smereki...

Wyszli na równe wzgórze, gdzie wśród zagonów stoi samotnie kwadratowy lasek. W nim tulą się gęste jałowce i smereki, nieobcinane rozrastają się swobodnie. Po cieniach gąszczowych chowa się ciche osamotnienie i ku przechodniom wychyla z powikłanych gałęzi — puste oczy... Wyżej, ponad wierzchołki drzew wznosi się czarny drewniany krzyż.

W nabożnej cichości posuwają się postacie ścieżyną koło lasku i, szepcząc czyścowe pacierze z wewnętrzną trwogą, mijają cmentarz choleryczny. A myśl każdego do lat tych czarnych ucieka i bezwiednie łączy je z przyszłością. „Kto wie, daleko li ona, ta z kosą?“ Nie boją się jej. »Bo śmierci nijako nie uciekniesz. Dogoni cię na kraju świata...« Jedno tylko przeraża ich: »Żeby nie wróciły te czarne roki«...

* *
*

Pod Groniami, do słonka, orze chłop wilgotne pole. Jego schylona, chuda postać robi wrażenie automatu, przyczepionego do żywej machiny, którą stanowi żelazny pług, idący ostrem żądłem pod ziemią i dwa kurczące się z wysiłku stworzenia, dyszące pianą woły.

Małe pacholę jedną ręką przyciska pług, by głębiej prul kamienistą powłokę, a drugą, okręconą postronkami, których końce około rogów bydląt owinięte, podnosi, lub ściąga ku sobie, jak wyuczony kierownik-woźnica. Znać, że ojciec niejedną już wiosnę zasiał z pomocą pacholęcia.

— Niech się wprawia! — mówił na prośby żony, by go nie zamęczał — ja najemnika opłacać nie będę. A jak mnie nie stanie, to co? Gorzej, jak bieda nauczy po niewczasie...

Takiem dosadnem rozumowaniem zamykał żonie gębę i brał chłopca ku pomocy w pole.. I dziś — odrana chodzą po zagonie tam i napowrót, bez ustanku, wciąż. Tysiące uszli stóp, nogi same rozchodziły się i znieczuliły, jak drewno.

Od rana nic w ustach nie mieli, a już spory kawałek z południa.

Kiedy nadeszło »przypołudnie«, ojciec wyprzęgnął woły z jarzma i dał im po wiązce słomy, mięszanej z polannem sianem. Sam zaś wyciągnął kości na rozścielonym płaszczu i zaczął »przemowę« do syna, który żałośnie pozierał ku chałupie.

— Nie patrz, Jasiu, nie. Nić nie wypatrzysz... Wiesz, mama poszła pod kościół, po ziarno do Marka. Nie przyjdzie aż ku wieczoru. Na wytrzymaniu zależy, moje dziecko... Dziś post, dzień święty, wielgi piątek... nie wiesz to?

— Dzień święty, a my robimly — zauważył chłopiec.

Ojciec wyminął odpowiedź.

— Też za to święty, że da robić... Bo jakby lało, to nie rusz z chałupy i świętuj z musu. Dziś ludzie na całym świecie nic nie jedzą — starał się wmówić w wygłodniałego chłopca. — Nie krzywdź se, bo nie masz o co. Wisz, bydlęta jeść muszą, boby ustały.

— I ja ustanę! — wyjękał ze łzami chłopak.

— Ho! ho! ho! — zaśmiał się chłop, a żal tajony zadrgał mu na ustach. — Czyś to nie chłop? Jasiek! Dyćby się śmiali z ciebie, żeś taki wygryzina!...

Starał się wywołać w chłopcu ambicję, którą głód wygnał pod ostatnią podeszwę skórną.

— Zresztą — dodał na uspokojenie — jak przyjdziemy do chałupy, to se upieczesz okrawków[1]) i będzie. Pojesz na czas, a teraz zaprzęgaj!

I zaprzęgali na nowo i dalej łazić poczęli, stawiając chwiejne stopy. Bo i ojca wnętrzności gryzły. »Łozcymał«[2]), synowi, a sam pozierał od czasu do czasu na wijącą się w dole ścieżkę, „czy baby nie zobaczy przypadkiem, bo się cnie. Tak od świtu bez niczego!“...

— Poszła — mruczy chwilami do siebie — i nie widać jej i nie... O, o, cóż to takiego?

Drapie się po głowie i nawraca po drugą skibę. A tu czas powoli się wlecze i słońce jakoś dłużej świeci, jakby chciało w nieskończoność „przewlekać ten utrapiony post“...

Już był „śródwieczerz“, kiedy oracz dojrzał idących pustymi ugorami ludzi. Zatrzymał woły i, przysłoniwszy dłonią zmrużone oczy, patrzał na ścieżkę. Przechodził okiem zgłodniałego ptaka wszystkie postacie.

— Nie idzie mama! — szepnął chłopak.

— A nie! — potwierdził ojciec — ona zawdy musi na ostatku!

Popluł w łapy i krzyknął na woły. Już się nie oglądnął ani razu. „Jak przyjdzie, to będzie. Jeszczebym też oczy stracił po próżnicy!“ myśli w duchu i stąpa po roli; a za nim wrona kroczy, mrużąc jedno oko filozoficznie z wyższością, że sama, nie poniewoli, chodzi se za pługiem...

Już przeszło obok sporo ludzi, a chłop zaciął się i nie zapytał o babę. Pochwalili Boga, dali szczęścia i poszli dalej... Paru zatrzymało się przy nim. Mieli chętkę pogwarzyć i odpocząć, choć na jeden moment.

— Dobrze się wam orze?

— E! tak ta. Skale i skale i nic więcej.

— A wasza kany?

— Poszła ku kościołu.

Już nie mógł wytrzymać, żeby się nie spytać.

— Idzie ta? nie widzieliście?

— A dyć idzie z nami, hań koło potoka — ozwał się jeden z nadchodzących.

Chłop spojrzał.

— W samy rzeczy!.. — rozwidniła mu się twarz. Synek się roześmiał.

— Cóż ta dźwigacie?

— Kukurycę.

— A wy?

— Ja wziął pół ćwierci pszenice i pół jęczmienia. Zmiesza się i baba ta skutwasi co na święta, jaką placynę...

— Po kieloz?

— O, dyć drogo, bo na bórg. Żyd nie opuści. A płacić ni ma czem.

Wszyscy kiwnęli głowami.

— Ni ma czem...

— Dużo ta ludu u kościoła? — spytał oracz.

— Dyć nie mało. Każdy też, nie wyczytający, przyjdzie pokłonić się Paniezusowi. Ale największy ścisk, to u Marka. Docisnąć się trudno. Biorą: kukurycę, jęczmień, orkisz, a mąki to już nie mało worków poszło.

— A to wszystko na bórg?

— Ba, juści! O centa we wsi trudno, a każdy chciałby też na Święta cosi kajsi, bo się wymorzył przez cały post, że brzucha nie dopatrzy...

Mimowoli oracz spojrzał na dół i kiwnął głową.

— Nie dopatrzy — powtórzył.

I przechodzili tak po jednemu, po dwóch i znikali razem ze ścieżką w jałowcach, śladem przysiadłych na stromej uboczny.

Chłopu się orać odechciało. Usiadł na pługu. Chłopiec pobiegł przed matkę, która już była niedaleko.

— Jasiu, nie leć-że tak! — zawołała zdala ku rozpędzonemu synkowi.

— Przecież wam ciężko, mamusiu, to poniosę za was choć chwilę... — krzyczy, dobiegając zdyszany i gwałtem chce zdjąć tłómok z ramienia matki.

Ojciec siedzi na pługu i patrzy. Dwie łzy, jak szklisty groch, stoczyły się po zoranej bruzdami twarzy.

— Biedactwo! — szepnął — ledwo łazi, a pragnie matce dopomódz...

Przez łzy patrzał ku nim, jak szli pod górę. Za ich nadejściem otarł je rękawem.

— Szczęść Boże! — ozwała się kobieta, rozjaśniając uśmiechem młodą, ale zbiedniałą twarz. — Jakże ci się tu orze? Bartuś!

— Dyć widzisz — wyjąkał sucho, usiłując zakryć poprzednie rozczulenie.

Zrzuciła tłómok, siadła przy nim i pogłaskała go po szorstkiej twarzy. Chwilkę zabłysły oczy jego tkliwością, przechodząc zwolna w poprzednie zobojętnienie...

Jaś począł „majstrować“ koło zawiniątka z pełnem przeświadczeniem, że przecie „coś“ znajdzie, że żyd musiał cosi przyrzucić do ziarna. I nie zawiodło go przypuszczenie. Aż mu się oczy zaiskrzyły, skoro

[1]) Okrawki — ziemniaki, z których powykrawano do sadzenia dołki z pędami.
[2]) Łozcymać — perswadować, tłómaczyć,

dojrzał w odwiniętym troku płachty koniec rogu plecionej kukiełki. Ułamał bez pytania i począł łakomie targać zębami.

Matka tymczasem rozpowiadała ojcu o całem podkościelu, o wielkiej procesji ludu, który zwłóczy żywność, skąd może i jak może... Potem o sobie mówiła, jak się wypłakała przed obrazem Ukrzyżowanego, jak targowała ziarno, wiele jej żyd zacenił, a wiele ona obiecała i tak dalej...

— Wzięłam trochę pszenicy, bo z jęczmienia suchy placek. Nie wiem, jak ci się ona uda...

Odwróciła cię po tłómok, leżący za jej plecami. Chłopiec odskoczył przestraszony; ręce mu opadły, a w zębach trzymał nie mogąc przełknąć ostatni kawałek ułamanego rożka. Zaczerwienił się po szyję. Matka spojrzała nań z boleścią i łzy rzuciły się jej do oczu.

— Jasiu! Dyć się nie bój! Przecie to la ciebie, nie la kogo...

Zawstydził się chłopiec i ucałował rękę matyczną, która głaskała go łagodnie po zarumienionem licu. Rozłamała kukiełkę i podała chłopcu.

— Ukąś-że, boś głodny.

— A cóż będziesz święcić?

— Nie turbój się, Bartuś! Upiekę chleb, zaniesę i będzie...

Siedzieli w milczeniu jakiś czas, a słońce spadało zwolna na zachód, nad Zimne Doliny.

— Słonko poczyna się mglić...

— Żałoba idzie od Jerozolimy...

— Idzie na cały świat...

— Smutek na ludzi...

Przyciszonym głosem wyrywały się nabożne słowa, płynąc melodją na wieczność w opustoszałą dal... Nastrój dziwny ogarnął skupioną na roli gromadkę.

— Nie będziesz orał? — odezwała się żona z prośbą w głosie.

— Jeszcze choć zagon urwę, hań, po kępę... — wskazał ręką.

— Nie, Bartuś! Paniezus-by się gniewał, że ty orzesz, kiedy on za nas na krzyżu umiera. Nie orz, nie!.. Musisz się umyć i ogarnąć jakoś do kościoła. Czas wnotki zleci...

Chłop podumał chwilę.

— Ha, no, moc boska! Nie dziś, to jutro...

Wyprzągł woły z pomocą Jasia, który je popędził, uradowany, ścieżyną przed siebie. Pług został na zagonie, do jutra. Bartek torbę na ramię zarzucił — i poszli razem milczącą gromadką pod Wysokie Gronie. Wnet schowały ich za potokiem i rozłożyste smereki i gęstwią obsiadłe jałowce...

* * *

Nazajutrz zrana uwijała się Bartkowa baba, żeby jak najprędzej posprzątać po izbie i zejść ze „święconem" ku kościołowi, bo „ta ksiądz nie będzie na nią czekał".

— Jasiu, przygotuj krzan! — wołała, zaścielając łożko. Jaś szybko zaczął oskrabywać ze skóry leżące na ławie wilgotne korzenie i układać je w ręcznym koszyku, w którym na dnie spoczywał „połeć" słoniny i wędzona kiełbasa, przechowana w sąsieku od mięsopustu jeszcze i dwa świeżo wypieczone ze światłej mąki chleby; prócz tego, spory kruszek soli i garnuszek białego masła.

Wnet uwinęła się kobiecina, przełknęła śniadanie jednym tchem i poczęła zawdziewać gorączkowo łachy.

— A głowienki przygotowałeś? — woła do Jasia.

— Są!

Skoczył do sieni i przyniósł wiązkę głogowych patyków.

— No, to wszystko!... — szepnęła do siebie, zawdziała chustkę, wzięła do ręki koszyk...

— Pilnuj tu, Jasiu! A drzwi zamknij, skoro pożeniesz woły, żeby cygan nie wlazł, albo jaki światowiec.

Napowiedziała mu dokładnie, co ma robić, i, przeżegnawszy się wodą święconą z kropielniczki, wiszącej na odrzwiach, wyszła.

Przed owczarnią, na podwórku krzątał się Bartek.

— Ostań z Bogiem — szepnęła.

— Nie siedź ta długo! — rzucił jej na drogę i poszedł do obory wywodzić woły, bo «słonko wysoko, a pług sam nie urwie ani skiby«.

— Jajka! jajka! — rozległo się po osiedlu.

Jaś wypadł przed sień, chłop wyjrzał z obory.

— Co za jajka? — spytał.

— Na święcenie! — woła zdyszana baba. — Zapomniałam se do znaku i od miedzy musiałam się wrócić. Jasiu! Tam w garczku... wyjmij, włóż do konewki i podej!... O!.. — oparła się o ścianę — jakże mi serce bije...

— To nie leć tak! — odrzekł chłop z wymówką.

— Nie leć! nie leć! A ksiądz nie zaczeka!..

Powkładała do koszyka gotowane jajka, które wyniósł chłopiec i poszła poza izbę, krótszym chodnikiem.

— A nie prawdem gadała! — szepnęła, wchodząc do furtki kościelnego cmentarza. — Już święcą!

I poczęła się przepychać wśrod ścisku, wystawiając naprzód odkryty koszyk, „żeby go też nie ominęła święcona woda z kropidła, boby święcone było nieważne".

Wielki, różnobarwny tłum ludzi rozłożył się cichym obozem na cmentarnym trawniku. Stojące, schylone i klęczące postacie robią wrażenie niemych przekupni na jarmarcznem, mieniącem się jaskrawo tle.

W odkrytych koszykach i na rozścielonych płachtach pełno rozmaitych spożywczych przedmiotów. Przeważa nabiał. Nawet przez sto lat, choćby niosła co dzień, nie zniesie kura tych jaj, co się bielą po kościelnym trawniku. Stoją rzędami porozkładane garnuszki masła i bryndzy; nawet soli mógłby na furę nabrać. Chłopina jakiś przyniósł na plecach pełną konewkę mleka; gdzieniegdzie nawet widać stojące, długie maślniczki. Co ma lud najlepszego we wsi, to powłóczył na cmentarz. Niech się święci!

A ksiądz poważnie chodzi wśród tłumu i macha kropidłem... Przed nim pochylają się głowy i wargi machinalnie szepczą wyuczone „paciorki".

Na cmentarzu, od strony zakrystji palili się poświęcone ognisko. Otoczyli je kołem niedorostki, popychając się nawzajem i hałasując głośno. Każde dzierży w ręku wiązkę cierniowych gałęzi, każde pcha się do ognia, co sił, by je choć po końcach opalić w płomieniu świętym...

Tak święci lud głowienki, tak zapewne święcili jego przodkowie, przed tysiącem lat.

Bartkowa baba docisnęła się do samego księdza. Pokropił jej zawartość koszyka; chlusnął wodą, jak się patrzy. Zadowolona z tego wielce, poszła się „przed ołtarz" pomodlić... Ale „ino chwilkę wpadła, na końdecek, bo się musi spieszyć co prędzej do chałupy. Paniezus i Matka Najświętsza muszą przebaczyć, bo też tam nie ma kto co zrobić. Ojciec z Jasiem w polu, a tu telo mycia, przątania, że łeb boli na samo wspomnienie. Upiec by się zdało co, z mąki i bryndzy, bo przecie Święta, nie co inszego!..."

Zakończywszy w ten sposób pacierze — poszła za ludźmi, którzy ciżbą wychodzili z kościoła......

* * *

Rano, we Wielką Niedzielę — wielka uciecha opanowała w Bartkowej chałupie. Jedli święcone jajka, święcony chleb ze słoniną i z masłem i święcony chrzan ze solą. Na ostatku wypili po dwa okopiste garczki kawy. Każde wypociło się dobrze przy jedzeniu i wszystkie twarze poweselały naraz... po takim długim poście!

Zebrana razem, uszczęśliwiona rodzinna gromadka ozwała się jednogłośnym chórem:

„Wesoły nam dzień dziś nastał,
Którego z nas każdy żądał..."

I z pewnością każde śpiewało z odczuciem, szczerze...

Psy w wojsku.

Kiedy pies został oswojony, odkąd jest najwierniejszym przyjacielem człowieka, nie wiemy, prawdopodobnie jeszcze w okresie przedhistorycznym, gdyż u wszystkich narodów, występujących na widownię dziejową pies jest już zwierzęciem domowem. Wobec wielkiego przywiązania psa do swojego pana, wobec swych ostrych zębów i silnych mięśni, był on niewątpliwie cenionym sprzymierzeńcem pierwotnego człowieka, pomocnikiem i obrońcą w polowaniu na dzikiego zwierza, w walce z człowiekiem o zdobycz; straszny był to przeciwnik dla nawpół nagiego, uzbrojonego maczugą, lub młotem kamiennym barbarzyńcy.

I w zaraniu historji, u ludów, dla których dopiero wschodziło słońce cywilizacji, pies nie stracił swojego znaczenia, jako czynnik wojenny. Wiemy, że grecy używali do bezpośredniego ataku olbrzymich ogarów, tesalijskich molosów, które dzika w pojedynkę napadać się nie obawiały; od nich psy wojenne przeszły do rzymian. Gallowie i cymbrowie, albańczycy i iberyjczycy, wszystkie ludy, które stopniowo zalewały Rzym i kładły fundamenta nowych państw, wszystkie one prowadziły przy swoich hordach całe stada psów wojennych.

Później jeszcze, w średniowieczu, a właściwie na początku nowej historji, hiszpanie i anglicy używali złych i dużych psów dla tępienia prawie bezbronnych indjan Kuby, San Domingo i Jamaiki. Dla europejskiego rycerza, zakutego od stóp do głowy w stal, dla zaopatrzonego w broń ognistą muszkietera, pies nie był strasznym przeciwnikiem, ale biedni indjanie, lub zbiegli z plantacji niewolnicy murzyńscy padali ofiarą zaciekłych ogarów.

W ostatnich jednak czasach rozwielmożniony militaryzm, szukając coraz nowych środków do tępienia bliźnich, zwrócił uwagę i na zapomnianego prawie zupełnie psa; rozumie się, do bezpośredniego ataku najzłośliwszy pies nie nadaje się obecnie, przy niezmiernie celnych i dalekonośnych karabinach, przy rozciągniętych na dziesiątki kilometrów bitwach. Na nic się dziś nie przyda grecki molos, lub hiszpański ogar, zły i zacięty, ale głupi — od teraźniejszego psa wojennego wymaga się inteligencji, zmyślności; od jego mięśni nie tyle siły, ile wytrzymałości.

Teraz psa wojennego używają do służby na forpocztach, gdzie czujność jego i węch nieobliczone mogą oddawać usługi; jest on najlepszą sztafetą, gdyż nie zwracając uwagi na żadne nierówności terenu, jest znacznie szybszym od jeźdźca, lub cyklisty. Pies roznosi żołnierzom naboje ze skrzynek, a po bitwie szuka uporczywie i znajduje rannych, rozrzuconych po różnych zakątkach obszernego pola bitwy.

Od czasu zastosowania psa do służby wojskowej, nie było jeszcze w Europie większej wojny, więc nie można było dotychczas doświadczalnie stwierdzić, czy w praktyce pies będzie również pożytecznym, jak się wydaje w teorji. W ostatnich czasach jednak, ekspedycje angielskie na południo - wschodzie Afryki stale używały psów na forpocztach i wprost nie mogą się ich nachwalić. Psy uprzedzały o zbliżaniu się nieprzyjaciela już na odległości kilkuset kroków: badały one wszelkie krzaki i zarośla, a po potyczce odnajdywały ranionych i zabitych.

Oczywiście, używane do tak rozmaitych celów psy, nie mogą zająć się wyłącznie odnajdywaniem ranionych; aby więc o ile możności ulżyć tym nieszczęśliwym ofiarom fantazji mocarstw, lub niezręczności dyplomatów, niemieckie stowarzyszenie czerwonego krzyża zapoczątkowało tresurę specjalnych psów do przeszukiwania ranionych, rozrzuconych po różnych zakrytych miejscach pola bitwy, których odnalezienie, osobliwie w nocy, jest prawie niemożliwem dla sanitarjuszów.

W przyszłej wojnie, przy szybkostrzelnych działach i karabinach, każdy żołnierz będzie się starał możliwie najdokładniej wyzyskać wszelkie

zasłony; wobec niezmiernej siły kul, ani drzewo ani szańczyk ziemny dostatecznej nie dadzą obrony, ilość ranionych, rozrzuconych po trudnych do odnalezienia zakątkach, zwiększać się stale musi. W takich warunkach psy, przeszukujące z niezmordowanym zapałem każdy krzaczek, każdy rowek, mogą być bardzo pożyteczne.

Długoletnie doświadczenie wykazało, że najodpowiedniejszą dla tresury wojskowej jest rasa szkockich psów owczarskich, zwanych collie. Są to psy nie wielkie, z długim, dosyć ostrym włosem, niezmiernie inteliligentne i pojętne; ogromna wytrzymałość i obojętność na wszelkie zmiany atmosferyczne powieksza jeszcze ich zalety.

Każdy pies sanitarny niesie na sobie, na specjalnnie obmyślonem siodełku, dwie torebki z najniezbędniejszymi materjałami opatrunkowymi i z porcją żywności. Oprócz tego, pies niesie zwiniętą derkę, na której sypia przy obozowaniu na powietrzu.

Obecnie wszystkie oddziały sanitarne armii niemieckiej mają być zaopatrzone w takie »Sanitaets-Hunde«.

Przez wichry i śniegi.

ze szwedzkiego,

przez

Alfreda Hedenstierna.

Wąska, poboczna linia kolei żelaznej, liczyła tylko sto kilometrów długości; było do niej trzech maszynistów, którym nie opłacało się dawać dużo na życie, gdyż interesa spółki akcyjnej stały źle, tak źle, że sam pan dyrektor chodził w surducie mocno wyszarzanym i wytartym na łokciach, a żona jego sprzedawała rękawiczki z Malmae.

Mniej więcej w połowie linii, leżało małe, bardzo maleńkie miasteczko, kędy szkarlatyna zaglądała regularnie dwa razy do roku, a nowe mody dostawały się dopiero w rok potem, gdy już się dobrze zestarzały w Sztokholmie.

Przy ostatniej uliczce tego miasteczka, stał ładny żółto pomalowany domek i niby oczami patrzał w świat przez zielonawe, ale czysto wytarte szybki, którym doniczki pełne kwitnących pelargonji za powieki służyły. Tu mieszkał Lindahl jeden z trzech maszynistów przy pobocznej kolei. Poza pelargonjami, wdzięczna a blada twarz jego żony pochylała się nad robotą bez miary końca, a u stóp maszyny do szycia, bawił się ich jasnowłosy, trzechletni Gustawek i kiedy mama jego puszczała w ruch maszynę, a kółko pod jej nogami poczęło się obracać, Gustawek stawał wyprostowany, z uroczystą miną i podnosząc w tłustej łapce czerwoną chorągiewkę — jak to pan naczelnik stacji przy odejściu pociągu zwykł czynić — komenderował: »Zug ab!«

Już cztery lata mijało, odkąd papa i mama Gustawka byli się połączyli i — »Zug ab!« — wyruszyli w nieznane im życie. Nie wiedzieli oni dobrze dokąd jadą, ani planu drogi nie ułożyli na przyszłość, ale jak dotąd, ciężaru towarowego mieli z sobą bardzo niewiele, a odległość między stacjami, na których się odnawiało zapasy, wydawała się im ogromną. Pomimo tego, jechało się wciąż naprzód, wesoło i żwawo, gdyż miłość, pełniąc służbę palacza, jechała z nimi w pociągu i podniecała ogień tem żywiej, im więcej troska o chleb stawiała przeszkód na drodze.

Rodzina Lindahla uważała go za szaleńca, że przyjął służbę na pobocznej kolei. Bo proszę państwa! Skończył był przecie sześć klas w szkole realnej i byłby z pewnością — po jakich dwudziestu pięciu latach pracy — dostał prawdziwie »piękną« posadę, gdyby tylko był wytrwał w nauce. Lindahl tymczasem — zajrzał zbyt głęboko w wesołe, życiem płonące oczy Maryni — wiecie? — córki podhorążego Blomwalla i uparł się przy swojem twierdząc, że mu potrzeba czegoś, co mu natychmiast da kawałek chleba, choćby nie wielki. I tak się stało, że obecnie oboje i jeszcze synek w dodatku, mieszkali w owym żółto pomalowanym domku z pelargonjami u okien.

Wprawdzie tam schodki były bardzo wysokie, a ręką można było dosięgnąć powały, ale gdy Lindahlowi wiatr na lokomotywie opalił twarz, a śnieg piersi przemroził, dosyć mu było próg mieszkania przestąpić, aby tu, jak na słońcu majowem, odtajać w ciepłej atmosferze miłości, pomiędzy żoną a złotowłosą główką dziecięcia, tulącą się tak serdecznie do jego zrudziałego, skórzanego kaftana.

Lindahl codziennie prowadził pociąg, aż do ostatniej południowej stacji i znów odprowadzał wieczorem, poczem był już wolny aż do dnia następnego. Że zaś mu codzień było pilno do tej chwili powrotu, więc zawsze raźno i szybko sprawiał się około maszyny i cieszył się jak dziecko z każdego obrotu kół, który go zbliżał do domu. Zdziwił się zatem bardzo pewnego poranku pan naczelnik stacji, widząc maszynistę włażącego zwolna na lokomotywę, z twarzą ponurą i bladą i głęboko podbitemi oczami.

— Coż tam Lindahl, nie wszytko w porządku?

— Nasz mały Gustaw śmiertelnie chory, panie naczelniku.

I pociąg ruszył.

Przez cały tydzień czas był okropny.

Dziś znowu dął wicher mroźny i straszna szalała zawieja. Pociąg spóźnił się już na pierwszą stację, potem za każdym przystankiem spóźnienie zwiększało się znacznie. Za powrotem zdawało się nawet niepewnem, czy tego wieczora będzie można stanąć w miasteczku. Udało się jednak i choć z dwugodzinnem spóźnieniem, mały pociąg wsunął się na stację z tym swoim pozorem zabawki dziecinnej, właściwym całemu materjałowi kolejowemu, używanemu na naszych wąskich liniach pobocznych. Lindahl podążał do domu, szepcząc w duchu: »Dzięki Bogu«.

— Panie Lindahl!

— Słucham panie naczelniku.

— Jesteśmy w piekielnym kłopocie, północny pociąg osobowy musiał się wrócić z powodu zawiei o półtora kilometra stąd. Pięćdziesięciu ludzi do tyla oczyściło tor, że może będzie podobna przez śnieg się przerżnąć. Trzeba, żeby pociąg ruszył natychmiast, ale Jonsson leży nieprzytomny w gorączce i doktor mówi, że przy tem psiem zimnie na lokomotywie tyfusu się nabawił. Musisz pan więc i północny pociąg poprowadzić.

— Co?... teraz... w nocy?... Panie naczelniku, jestem przeziębły, przemoczony, sił ludzkich na to nie starczy...

— Tak, to ciężko, wiem dobrze; ale... w przepisach służbowych nie stoi nic o przemoczeniu. Czy się czujesz tak chorym, że pasażerowie i materjał pociągu byliby w niebezpieczeństwie gdybyś jechał?

— Tak znowu nie... Ale... panie naczelniku, mój mały Gustaw może umrze tej nocy, jeśli już może teraz nie...

— Rzeczywiście bardzo mi przykro, ale i o chorych dzieciach nie ma wzmianki w przepisach. Czy mozesz jechać?

— O której ma więc pociąg ruszyć, panie naczelniku?

— O siódmej piętnaście.

— Karlson pal! Za dziesięć minut tu będę!

Tam w domu dyło bardzo źle. Wilgotne włoski kleiły się na rozpalenej skroni Gustawa, oddech harczał w gardełku, a tłuste piąstki były kurczowo ściśnięte. Pierś poruszała się boleśnie, a oczy patrzały wylękłe, jakby u zranionej ptaszyny. Marynia przestała płakać. Siedziała blada, z zaciśniętemi wargami, ocierała krople potu z twarzy dziecięcia. Wszakże gdy Lindhal wszedł, ból jej wybuchnął na nowo, cała drżąca z głośnem łkaniem uwisła na jego szyi, wołając:

— On kona, kona! Doktor powiedział, że już nie ma nadziei — ale on nie powinien umrzeć! Pan Bóg nie może być tak srogi. Gustawku! moje maleństwo! Papa przyszedł, papa całą noc zostanie ze swoim chłopczykiem. Poznajesz papę, prawda poznajesz kochanku?

Zwolna, z trudnością, podniosły się krwią nabiegłe powieki, harczenie na chwilę umilkło, cień uśmiechu przemknął po rozpalonej twarzyczce i głosik słaby wyszeptał:

»Papuś będzie siedział przy łóżeczku Gustawka«.

. . . .

I znowu Lindahl stał na syczącej maszynie, znów dalej — naprzód przez wicher i śnieg! Sam nie wiedział, jak się dostał na lokomotywę; teraz jednak stał na niej z okiem bystro utkwionem w szyny znikające pod śnieżną zamiecią. Na przodzie ostrze maszyny zwycięsko przerzynało zaspy, siejąc na obie strony chmury srebrzyste i tak samo, zupełnie tak samo, równie ostry, nieubłagany, jak to żelazo, ból serce jego przerzynał. Ha! jak tam zimno pod tym zamarzłym śniegiem i tam głęboko, bardzo głęboko miano położyć jego Gustawka.

Nigdy już nie będzie bawił się »w kolej« i wołał »Zug ab«, jak pan naczelnik, już nigdy jego nóżki nie będą stukać po deskach podłogi, spiesząc do ojca, skoro go tylko w przedpokoju posłyszy... nigdy już, nigdy nie zaświergocze jego słodki »dobry wieczór kochany papusiu«... O!...

— Cóż takiego panie Lindahl?

— Nic mój Karlsonie.

— Mnie się zdawało, że pan jakoś żałośnie wykrzyknął.

— Śni ci się człowiecze! Nie powiedziałem, ani słowa, pal co się zmieści.

Na następnej stacyi wysiadł z I. klasy otyły jegomość w wielkiem futrze bobrowem, jedyny podróżny w całym pociągu. Stangret oczekiwał go na peronie. Pociąg był krótki i maszynista widział i słyszał wszystko, co około niego się działo.

— Co tam słychać w domu, Persson?

— Wszystko dobrze Jaśnie Panie!

— Moja żona i dzieci zdrowe?

— Wszystko zdrowe, proszę Jaśnie Pana!

Serce maszynisty ścisnęło się boleśniej: ten człowiek w futrze i własnych, krytych saniach, spieszył bogaty, zadowolony, szczęśliwy do spokojnego ogniska, jego żona i dzieci przyjmą go wesołe i zdrowe, z okrzykami radości i z rozwartemi rękami... On sam zaś, on, biedak, marznący teraz na tej samej wysokiej maszynie, zastanie w domu cóż? Żonę bólem złamaną i zimne, maleńkie zwłoki w plecionem łóżeczku...

Dalej znów marsz! przez wichry i śniegi! Więcej węgla!... ostatnia stacja.

Pociąg miał wrócić dopiero dnia następnego, aby według telegraficznie nadeszłego rozkazu, »jako pociąg nr. 3 po przejściu zawiei do dawnego regulaminu jazdy znów powrócić«.

Siły natury już się były wyburzyły i zdawały się święcić niedzielę swem słońcem promieniejącem u góry i olśniewającą powłoką, rozciągniętą po ziemi, na kształt białego obrusa na olbrzymim ołtarzu. Świeże brylanty migotały na ciemnej zieleni świerków, pochylonych pod niezwykłem brzemieniem, tor był wolny i jasny, z za okien, przed któremi pociąg przejeżdża, drobne do bawidełek podobne wagony zdawały się cieszyć ludzi z przywrócenia zwykłej komunikacji na kolei.

Naraz maszynista odwrócił się w bok: dwie ciężkie łzy spływały z wolna po jego zczerniałych policzkach. Czyż i dziś wiatr był tak ostry? O nie!... Ależ tu obok toru w oknie siedziała kobieta, z chłopczykiem na kolanach i pokazywała mu lokomotywę i pociąg

Nareszcie przyjechali! Nie chciał pytać kolegów na stacji, co tam w domu się dzieje; wolał wyrok swój usłyszeć z jedynych ust na świecie, które mu gorycz tego wyroku osłodzić mogły.

Poszedł więc, nie przemówiwszy słowa do żadnego z kolegów. W żółtym domku firanki, podobnie jak wczoraj, wisiały u okien białe i czyste, a poza nieni widniały jeszcze doniczki ze zwykłemi pelargonjami.

Jemu się wszakże zdawało bardzo wyraźnie, jakby nań smutnie kiwały: Gustawek nie żyje, Gustawek nie żyje...

Jednym susem wskoczył na schody i drzwi roztworzył: Marynia szlochając, ale łzami radości, rzuciła się w jego objęcia, a tam na plecionem łóżeczku siedział Gustawek blady i osłabiony, ale bez gorączki i bólu i bawiąc się czerwoną chorągiewką, komenderował cichutko:

— *Zug ab*! *Zug ab!* Mój papusiu!

Ciekawe rzeczy.

Pomiędzy państwami europejskiemi Rosja ma największą liczbę niewidonych, bo na 10.000 mieszkańców 20 niewidomych, podczas, gdy Holandja ma tylko 4, Belgja, Niemcy, Francja i Anglja po 8.

Przeludnienie Europy. W przeciągu ostatnich 10-cin lat pomnożyła się ludność Europy o 10 procent. Na początku bieżącego stulecia liczyła 175,000.000 mieszkańców. W roku 1830 wzrosła ta cyfra do 220 milionów; w roku 1860 liczyła ludność Europy 309 milionów. W roku 1890 wykazuje statystyka 350 milionów osób. Dziś liczy Europa 380 milionów. Co będzie za lat sto?

Najbogatszy człowiek na świecie żyje obecnie — jak łatwo się domyślić — w Nowym Yorku. Jest nim mr. John D. Rockefeller. Posiada on już trzecią część biliona i ma wszelkie widoki, że zaokrągli jeszcze za żywota swojego bilion, gdyż majątek rośnie olbrzymimi krokami. O jakąś bagatelę 10—12 milionów. sam nie potrafiłby dzisiaj doliczyć się posiadanych sum. Majątek jego przewyższa skombinowane razem majątki Astorów, Vanderbildtów i Gouldów. Roczny dochód tego największego krezusa chwili naszej przynosi 20 milionów dolarów, czyli 1,966.666 dolarów przybywa mu na miesiąc, czyli 55.000 dolarów na dzień, czyli 2,316 dolarów na godzinę. Karjerę swoją rozpoczął Rockefeller, jako buchhalter z pensją miesięczną 50 dolarów. Jest on dziś tak nieprzystępny dla świata, jak cesarz chiński. Wszystkie dzienniki nowojorskie zadają sobie pytania, coby ten pierwszy bilioner świata (pierwszy chronologicznie, gdyż takiego wybrańca fortuny dotąd nie było) mógł uczynić dobrego i wielkiego, gdyby chciał? Mógłby wyplenić ubóstwo, robiąc życie tańszem i dostarczając wszystkim robotnikom pracy: mógłby wypłacać apanaże wszystkim panującym, a mimo tego kapitalizowałby jeszcze większy dochód od nich.

Muszelki wybuchające. Dotąd znane były owoce wybuchające. Teraz zaś czasopismo „National Druggist" wspomima o muszlach wybuchających, które jednak tylko w szczególnych warunkach wybuchają. Warunki te są niemniej ciekawe. W Stanach Zjednoczonych, w Mobile Bay młoda amerykanka przechadzając się. znalazła kilka muszelek. podobnych do skorup ślimaków. Nie przyglądając im się baczniej, schowała je do kieszeni i wkrótce o nich zapomniała. W jakiś czas dopiero, ubierając się w suknię. którę miała na sobie podczas pamiętnej przechadzki, poczuła zapach nieprzyjemny zgnilizny. Przypomniawszy sobie muszelki, wyjęła je z kieszeni i w pospiechu kilka upuściła na ziemię. Przez nieuwagę nadeptała na jedną z nich nogą i nagle nastąpił wybuch dość gwałtowny. Ubawiona tem panna, zgniotła jeszcze kilka muszelek i zjawisko powtórzyło się. Współpracownik czasopisma „National Druggist" został proszony o dokładne zbadanie muszelek. Po szczegółowem obejrzeniu tychże okazało się, że otwór ich był szczelnie zamknięty przez dość grubą błonę. Żyjątka, zasklepiwszy się na wzór ślimaków, wzięte z miejsca rodzinnego, zamarły. Wskutek tego każda muszelka napełniona była gazem, powstałym z rozkładu ciała. Gaz ten, przez zgniecenie skorupki, wydobywał się na zewnątrz i wybuchał, łącząc się z powietrzem.

Rzymskie zwyczaje pogrzebowe. Przy uroczystym pogrzebie zmarłej w Rzymie księżnej Torlonia, odbył się następujący obrzęd. Gdy złożono już wspaniale przyozdobioną trumnę w kościele, a cały orszak pogrzebowy duchowieństwo i lud oddalił się, wstąpił do świątyni posiwiały marszałek dworu książęcej rodziny Torlonia i zbliżywszy się poważnym krokiem do trumny, zapytał z głębokim ukłonem: „Czy wasza książęca mość ma jeszcze co do rozkazania? »Po chwili milczenia skłonił się raz jeszcze do ziemi i tym samym poważnym krokiem wyszedł z kościoła, u którego bramy stał powóz księżnej. Lokaj w kapiącej od złota liberji, czekał z ręką opartą o drzwiczki karety. Marszałek spuścił nasamprzód własnoręcznie firanki n okien karety, następnie wziął z rąk woźnicy złotem przeplatany bicz, złamał go na kolanie i żałobnym wyrzekł głosem: „Jaśnie Oświecona Pani niczego od was już nie żąda, możecie wracać do domu!" poczem kareta stępem ruszyła z miejsca do pałacu Torlonia!

W każdym książęcym domu włoskim zwyczaj ten przy pogrzebach dotąd jest zachowany.

Przypadkowa aklimatyzacja rozmaitych zwierząt przytrafia się, jak wiadomo, w rozmaitych okolicach. To samo można powiedzieć i o roślinach. W ten sposób flora i fauna pewnej okolicy wzbogaca się niespodzianie jakim nowym okazem, który przystosowywa się do pewnych warunków bytu i po pewnym czasie zaczyna się rozmnażać. I tak np. w Anglji odkryto niedawno dwa nowe gatunki zwierząt, poprzednio tam nie spotykanych. Pierwszym jest motyl „Colophasia platyptera", który do tej pory żył tylko w Europie południowej. Mniemają, iż do jednego z portów angielskich przywieziono z jakimś towarem jajka wzmiankowanego motyla lub, poczwarkę. Ciekawszym jeszcze jest fakt, iż od pewnego czasu w Tamizie spotyka się ślimak „Petricola pholadiforni", pochodzący z wód południowej Ameryki. Skorupiak ten został przywieziomy wypadkowo do Anglji razem z ostrygami amerykańskiemi, przeznaczonemi do sztucznej hodowli na mieliznach. Aklimatyzacja obu wymienionych gatuuków dokonała się całkowicie bez pomocy ludzkiej.

Obyczaje strusia. P. Schreiner, który od dziewięciu już lat zajmuje się hodowlą tych ptaków, podał w piśmie „Zoologist" ciekawy szczegół o ich obyczajach. Samiec żyje w jednożeństwie; w okresie rozmnażania obiera samicę i oboje budują gniazdo, w którem samica składa jaja i zaczyna je wysiadywać, gdy liczba ich dochodzi do 12, lub 15. Towarzysz jej podziela te trudy, samica bowiem wysiaduje tylko od godziny 8, lub 9 rano do 4 popołudniu; przez pozostałą część doby obowiązki te spełnia samiec. Porządek ten jest troskliwie utrzymany. Opowiadano często, że strusie pozostawiają jaja swe w dzień na działanie promieni slonecznych; jest to wszakże mniemanie zupełnie błędne. wysiadywanie bowiem dziennie ma na celu raczej ochronę jajek, by od nadmiernego ciepła słonecznego nie zostały upieczone P. Schreiner obserwował na piasku temperturę 66°, któraby była dostateczną do zabicia młodych zarodków. Normalne pożycie małżeńskie ma wszakże w ogólności miejsce wtedy tylko, gdy para przebywa w gnieździe ustronnem, zdala od innych strusi. Zdarza się często, że liczba samców jest zbyt mała, a wtedy samce ulegają podnietom innych samic, które składają jaja swe do gniazda już zbudowanego. W takim razie obce samice wysiadują jedna obok drugiej, ale gdy kolej ich zastąpienia nadchodzi dla wspólnego ich samca, jajka wysuwają się cząsto na zewnątrz gniazda i rozbijają się, a samiec tem zniechęcony oddala się i nie wraca, czego nigdy nie robi, gdy żyje w jednożeństwie.

Teatr — koncerta — literatura — widowiska.

Opera. Łapędzim śpiewem sezonu operowego, było poniekąd, przedstawienie *Fausta*, w którym żegnał się z publicznością lwowską p. Jeromin, dzielny bas, wyborny artysta. którego publiczność obdarzyła wspaniałym wieńcem, a na każdym liściu złożyła wyrazy żywej sympatji dla swego... Mefista niezrównanego. Piękny kosz kwiatów otrzymała panna Bohuss za ślicznie odśpiewaną partję Małgorzaty. Partję tę śpiewała p. B. po raz pierwszy, a trzymając ją w granicach swego pięknego i dźwięcznego głosu, nie forsując, wywoływa niezmiernie korzystne wrażenie.

Pan Hofman śpiewał Fausta bez powodzenia.

Dzielną, jak zawsze była pani Kasprowiczowa.

W *Fauście*, jako Siebel debiutowała pna Dąbrowska. Śpiewaczka rozporządza silnym sopranem i, o ile sądzić można z pierwszego występu, stanie się pokaźną siłą dla opery.

Z repertuarowej dramatycznej kroniki teatralnej, zanotować należy występ p. Chmielińskiego w roli wojewody w »Mazepie« na sobotniem przedstawieniu dla młodzieży.

Rolę tę grał p. Ch. po raz pierwszy. Oparował ją artysta w zupełności. Naturalność dykcji i gry cechowała przedewszystkiem tę kreację wojewody. Dramatycznej siły wykazał też artysta niepośledni zasób. Całość gry robiła bardzo korzystne wrażenie.

Podejrzliwy mąż: francuska Gondillot'a farsa dobrze przetłomaczona przez p. Sachorowskiego, grana u nas w tych dniach po raz pierwszy, nie przysparza listka do tej sławy, jaką się w ogóle farsy francuskie cieszą.

Rozbita treść bez humorystycznych sytnacyj o postaciach mdłych, szablonowych, albo do szczętu spłowiałych — więcej nuży, jak rozwesela. Kadzidło dobrej gry aktorskiej nie na wiele jej się przydało. Z ról, postać młodzieniaszka pragnącego się ożenić, najdobitniej przez autora rysowaną, niezrównanym temperamentem, silną plastyką i wybornym humorem, odznaczała się gra p. Walewskiego. Nieco wybitniejszą rolę panienki ekscentrycznej, z werwą grała panna Jankowska. Inne role mimo, że je grali tacy artyści, jak p. Gostyńska, Kwiecińska, Cichocka, Woleński i Feldman — były piaskiem, z którego bicza ukręcić nie można. Równie przy całej starannej grze nic poradzić nie mogli pp. Modzelewska, doskonała subretka — Jaworski, Wostrowski i Kwiatkowski.

Wznowienie. *Wielkiego człowieka do małych interesów* Fredry (ojca) należy zaliczyć do dodatnich objawów działalności obecnej dyrekcji. Jest to wprawdzie jedna ze słabszych komedyj znakomitego autora — ale swoją drogę należy jej się stałe miejsce w repertuarze, bo dzieła Fredry są własnością literatury dramatycznej, a nie zaliczają się do efemeryd scenicznych.

W komedji tej pp. Fiszer, Hierowski, Kliszewski, Walewski, Wostrowski, Kwiatkiewicz, Jaworski, Rożański, oraz pp. Cichocka, Czaplinska i Ogińska, złożyli się na całość artystyczną, w której odczuć można dobre tradycje gry, nie rzadko dziś zamazywanej przez manierą aktorską.

Woźnica Henszel, 5 aktowa sztuka Hauptmana, zanim się ukazała na lwowskiej scenie, przedstawiana na scenie niemieckich wywołała obszerną krytykę, nietylko o sobie, lecz i o kierunkach talentu autora. Naturalistyczna forma, w którą powyższy dramat oprawiony, odbija od wewnętrznej jego treści stanowiącej ochronę, czy salwowanie idealnych, uczciwych i etycznych czynników życia. U nas, *Woźnica Henszel* na inteligencji zrobił nierówne wrażenie, na szerokiej, że się tak wyrażę, doraźne, przemijające i nie pozostawiające głębszego śladu. Mimo dużej wartości literackiej i artystycznej, *Woźnica Henszel*, nie stanie się stałym nabytkiem repertuaru żadnego polskiego teatru, na co się składają przyczyny estetyczne.

Rzecz dzieje się na Szląsku i chociaż osoby działające są niemcami, nie są to, jednak, czyści germani, lecz czuć w nich pewien silny powiew etyki polsko-słowiańskiej. Zresztą, sam Hauptman, jest szlązakiem.

Siła dramatu leży w znacznej części w wydatnych epizodach, które stanowią tło. Gdyby te epizody były grane przez słabych artystów jak to się często dzieje na scenach niemieckich, dwie główne postacie i sam dramat ucierpiałyby na tem bardzo. U nas epizody te grane wybornie, wytworzyły przedziwnie harmonijną całość, a niektóre z nich, jak p. Czaplińskiej i p. Feldmana wysunęły się na pierwszy plan. P. Czaplińska, w akcie, gdy odwiedza drugą żonę Henszla jest, po prostu, niezrównaną. W grze pp. Hierowskiego, Antoniewskiego, Wysockiego, Kwiatkiewicza, Walewskiego i Rybickiej — epizody te silnie się zarysowały i uwypukliły. Mniejsze rolki równie starannie grali pp. Rożański, Jasielski, Recheński i Lasocka.

Tytułową rolę grał p. Jaworski. Nadspodziewanie gra ją z głębokiem odczuciem duszy bohatera dramatu. W grze była miara artysty-

czna. unikanie szarży, naturalny spokój, pomysłowość i, ani śladu aktorskiego szablonu. Pani Stachowiczowa była Hanką. Niektóre ustępy scen, momenta, były trochę ostrymi konturami afektowane — ale całość gry przedstawia się w stylu wspaniałego i szlachetnego naturalizmu artystycznego spowitej w pyszne festony brawury aktorskiej Pani Stachowiczowa nie po raz pierwszy w rolach tego rodzaju, okazuje się artystką na wyżynach.

Wzmiankę o *Pameli* zamieszczoną w poprzednim numerze uzupełniamy treściwą notatką nadmieniając, że jest to sztuka, która wybitnej wartości literackiej i artystycznej nie posiada i utrwala przekonanie, że Sardou, a właściwie jego talent odchodzi w stan dobrze zasłużonego spoczynku, i, że pomijając zbyt jaskrawo wyrażoną tendencję legitymistyczną, treść sama dosyć luźnie jest powiązaną, a rysunek postaci słaby i spowszedniały.

Tytułowa rola, którą grała z silnie rozwiniętą starannością artystyczną p. Stachowiczowa, pociągnięta jest dramatycznym szablonem od początkn do końca. Baras, ów sławny Baras, to także pudrowany manekin o nakręconych nerwach zmysłowości — grał go nad wyraz starannie p. Chmieliński. Trochę wydatniejszą rolę kochanka Pameli dobrze grał p. Wostrowski. Wszystkie inne role, to sztafaż sceniczny, z pomiędzy którego wysuwają się toalety stylowe, bardzo ładne i bardzo ponętne toalety pań: Stachowiczowej, Cichockiej, Kwiecińskiej, Ogińskiej, Nałęczównej, Modzelewskiej i Różańskiej. W rolach męskich pisanych, przez autora nijako, zwracali na siebie uwagę staranną grą pp.: Walewski, Hierowski, Jaworski, Antoniewski, Nowacki, Kiczman, Różański, Neuman i Jasielski. Panna Jankowska starannie odegrała maleńką rolkę chorego i wykradanego Delfina.

Wznowiono niedawno, zresztą grany: *Dzwon zatopiony*. Oprócz trzech ról — obsada została ta sama, co nas uwalnia od obszerniejszego sprawozdania. Panna Czaplińska grała ową uroczą leśną rusałkę, co złamała życie fabrykantowi dzwonów. Charakter postaci nie zawsze dobrze pojęła ale dała ją w pięknych, ponętnych, estetycznych formach artystycznych. P. Kwiecińska starannie grała żonę W grze p. Woleńskiego, który grał Henryka, uwydatniały się: siła i uczucie. One to są dodatnią i wybitną właściwością gry artysty, której może czasem nie dostało artystycznej subtelności — ale całość gry robi wrażenie silne, a w niej tętni niepospolity zapał.

Operetka. Interesującem jest wznowienie operetki: *Dzwony z Corneville*, interesującem ze względu na samą operetkę, która u nas cieszyła się ogromnem powodzeniem pozostawiwszy trwalsze sceniczne tradycje i interesującem z powodu dwóch występów w tej operetce. Przedstawiły się dwie artystki, dwie *divy* operetkowe, jedna: panna Miłowska, jako Germana z pewną rutyną aktorską przefrunęła śmiało z dramatu, druga: panna Schouppówna jako Dziewanna zerwała się do lotu po raz pierwszy probując swoich skrzydeł — obydwie młode, ładne, do których się uśmiecha sztuka i życie... Uśmiechy sztuki przynoszą zdrowie życiu i ogarniają go ciepłem, uśmiechy samego życia, często osiadują łzami smutku i zgnębienia na obliczn sztuki... Toby należało każdemu artyście, czy artystce pamiętać zwłaszcza tym, którzy się zrywają do lotu i pragną szybować na wyżyny... Wątpliwości najmniejszej nie ulega, że obydwie artystki przynoszą na scenę wszystkie warunki, jakie operetka w wyższym i wyszukanym stylu wymagać powinna, jeśli ten odłam pracy scenicznej ma być zdrowym odłamem sztuki.

Właściwem zadaniem operetki jest być karykaturą humorystyczną objawów życiowych, lub samego życia, o doskonałym rysunku. Głos p. Miłowskiej jędrny, silny, wcale rozległy, stanowi sopranowy materjał, z którego nauka śpiewu i wydelikatnienie poczucia muzykalności, niezawodnie w zakresie właściwym, wytworzy dla artystki duży i wydatny repertuar. Panna Schouppówna śpiewa zupełnie czysto. a sopran jej giętki i dźwięczny, posiada bardzo sympatyczną emisję. Obydwie artystki swoim śpiewem wywołują niezwykle dodatnie wrażenie, tak dodatnie, że określenie »debiut« niekoniecznie do nich stosowane być nie może. Gra p. Miłowskiej opiera się już o aktorskie doświadczenie przyczem widoczny w niej jest talent samodzielny, nie naśladowniczy i posiadający różnostronny kierunek. P. Schouppówna w tym pierwszym występie okazywała, może trochę afektacji, ale to było naturalnym wynikiem rwania się do gry objaw. właściwy rozkwitującej młodości aktorskiej. Gra p. Schouppówny znajdowała się zawsze w granicach prawdziwej estetyki scenicznej. Obydwie artystki rozsiewają moc wdzięku i powabów młodości. Dyrekcji i scenie szczerze powinszować należy takiego aytystycznego nabytku.

Cała wznowiona operetka szła dobrze. Prowadzi ją w znanej charakterystycznej roli Gasparda p. Myszkowski; ślicznie, co się zowie ślicznie spiewał Grenichego p. Malawski, grał i śpiewał dobrze margrabiego p. Bogucki — szkoda tylko, że psuły nieco słabe, trywialne i wcale nie dowcipne kuplety wójta.

W dziale operetki mamy do zanotowania jeszcze dwa występy: tej samej p. Schouppówny *w Gejszy* w roli młodej angielki i panny Dąbrowskiej, o której także wspominamy z powodu *Fausta*, w roli Mimozy. Obydwie debiutantki miały nadzwyczaj trudne zadanie, bo walczyły ze wspomnieniem przewybornej gry pp. Kliszewskiej i Bohusówny — mimo to okazały wiele dodatnich rysów o których już wyżej pisaliśmy. Zdaje nam się też, że panna Dąbrowska powinna się skłaniać więcej do opery, aniżeli do operetki.

Wznowiono bardzo dawno niegranego *Orfeusza w piekle*, jedną z najlepszych operetek Offenbacha. Wystawiono ją na naszej scenie wspaniale. Grano z wybornym humorem i werwą. Grzmoty oklasków zbierali za piękny śpiew, lub wyborną grę pp Bohuss, Kliszewska, Miłowska, Schuppówna, Dąbrowska, Myszkowski, Malawski, Bogucki i inni! Wśród plejady zgrabnych tancerek, brawurowym stylem choreograficznym odznaczali się soliści pp Bogdanowicz i Solnicki. Dowcipne kuplety śpiewał p. Lelewicz i doskonale grał.

Pożyteczne i praktyczne wiadomości.

O przec owaniu jaj i pierza. Aby jaja na dłuższy czas przechowywać. trzeba je w suchem i chłodnem trzymać miejscu Dobre gospodynie kładają je zazwyczaj w sieczkę, lub drobne siano. Sposób ten jednakowoż nie ochroni ich od zepsucia. Zewnętrzne bowiem powietrze przez drobne otwory w skorupie powoli wstępuje w jaje i sprawia rozkładanie się jego na pierwiastki (składowe części), a następnie wewnętrzną zgniliznę. Chcąc zatem jaja dobrze zachować, zabezpieczyć je koniecznie trzeba od przystępu powietrza. Można je zamaczać w oleju, a potem z niego obetrzyć, aby w środek nie wstąpił, smarują jaja także masłem, smalcem i t. d. Najlepsza i nawygodniejsza jest skóra od słoniny. Najmniejsze posmarowanie tłustością jest dostateczne. albowiom zamyka otwory w jaju i nie przepuszcza powietrza. Ten sam skutek wywiera suchy piasek, rozmaite nasiona n. p. marchewiane, lniane i t. p., atoli zachowanie w nich nie jest zupełnie pewne. Najlepszym środkiem ze wszystkich jest woda wapienna, którą się w następujący sposób przyrządza W prosty garnek gliniany leje się 8—12 kwart wody i kładzie się w nią 6—7 funtów palonego wapna Pomieszawszy to wprzód dobrze, czeka sie potem, aż wapno na spód osiędzie. Czystą z wierzchu wodą nalewają się w kubełku ułożone jaja o tyle. aby około 5 cali nad niemi stała. Teraz posypuje się znawu trochę wapnem i do zschowania ustawia. W wodzie takiej trzymają sią jaja cały rok.

I pierze kur nie jest bez wartości, służy bowiem do wyścielania, a jako materjał taki, ma wysoką cenę. — Jeżeli pierze na ten cel ma być użyte, trzeba je zaraz po zabiciu zwierzęcia, dopóki to jest jeszcze ciepłe wyskubać, wysuszyć w piecu i potem na suchem miejscu zachować.

Na oparzeliznę bardzo skutecznym środkiem ma być dwuwęglan natronu (natrum bicarbonicum). Posypuje się nim dość grubo miejsce oparzone i obciera preparowaną watą

Na odzięblenie bierze się rozczyn ałunu, który się tworzy p zez rozpuszczenie pół funta ałunu w dwóch litrach wody. W rozczynie tym należy nogę lub rękę odmrożonę moczyć na gorąco.

Zasłony zielone u lamp przy czytaniu są szkodliwe oczom. Kto czyta przy takiej lampie, a potem wzrok skieruje na ciemne ściany pokoju, temu źrenice oczu się rozszerzają, a kiedy znów patrzy w książkę, temu źrenice znów się ściągają. Ta ciągła zemiana źrenic wpływa bardzo niekorzystnie na oczy. Z tego powodu najlepiej czytać przy zasłonach lamp z białego mlecznego szkła, lub porcelany.

Nasz ruch handlowy i przemysłowy.

Nowym smutnym dowodem znanego faktu na jakie trudności napotyka każda próba rozwinięcia w Austrji przemysłu i handlu, jest otwarcie filji fabryki Mc. Cormicka (z Chicago) w Budapeszcie. Jeszcze dziesięć lat wstecz, pewno filja taka byłaby urządzoną w Wiedniu, nie w Budapeszcie. A dziś? W Wiedniu reprezentanta fabryki przyjęto z arkuszem podatkowym w ręku; w Budapeszcie zaś prześcigano się w ofiarowaniu największych ułatwień, co do manipulacyj cłowych, kolejowych, podatkowych, byle tylko filię tego olbrzymiego przedsiębiorstwa pozyskać dla Węgier.

Mc. Cormick Harvesting Machine Co w Chicago, jest bowiem w zakresie wyrobu żniwiarek i kosiarek potęgą, pierwszą fabryką świata; tak co do ilości wyrabianych sztuk, jak co do jakości wyrobu i sposobu fabrykacji, nie ma sobie ani w przybliżeniu równej.

Nasze władze podatkowe znają jednak tylko »numera« a boją się spojrzeć otwartem okiem dalej w świat.

Od Redakcji i Administracji.

Kap. w Londynie Prosimy o bliższy adres.
Laura. Niesmaczne.
Antola. Niech pani sprobuje prozą.
Tubejny. Nikt się nie wdaje w polemikę.
Wytrawny Sprawa ta, niezawodnie, dobrą nie jest, ale swoją drogą podmalowana jest konkurencją,
M. R. w K. Artykuł wydrukujemy.
J. Chicago Kredytować nie możemy.
Pas — p. w Paryżu. Owszem.
Antorowie wierszy: „Łaska“, „Pudełeczko“, „Posłańcy miłości“, „Roentgen w sercu“ i „Ekonomiści“ — utwory panow drukowane nie będą.
P. Ypsyllon we Lwowie Krótkie humorystyczne utwory drukowane nie będą.

Nadesłane.

Przedsiębiorstwo przewozu mebli

ALEKSANDER SALZER,

Wiedeń

wykonuje wszelkie przesiedlenia patentowanymi wozami meblowymi.

Specjalność: **wozy meblowe 8·50 metrów, długości, 2·50 metr. wysokości.**

Reprezentacja dla Galic i Bukowiny: [7356—4—1]

Haut i Begleiter,

dom spedycyjny i komisowy

Lwów, Kościuszki 13.

zastępstwo firm: **Józef J. Leinkauf w Wiedniu**, dla oddziału przesyłek pospiesznych, z Morawii, Ślązka, Czech i Wiednia. **Norddeutscher Loyd w Bremie** dla sprzedaży biletów okrętowych do wszystkich części świata.

Regularny ruch zbiorowy przesyłek ciężarowych do Wiednia.

Dostawa z kolei i na kolej przesyłek pospiesznych i ciężarowych regularnie 6 razy dziennie.

Załatwianie wszelkich formalności przy posyłkach cłowych.

Telefon Nr. 546.

Pod najściślejszą dyskrecją, ekspedycja w miejscu i na prowincję hygienicznych **ochron dla kobiet i mężczyzn.**

Adres: Chemiczne laboratoryum, perfumerja i droguerja pod „Gwiazdą“ Lwów, ulica Grodecka l. 53 (powyżej fabryki Schuttlewortha). [7358-10-1]

Piekarnię moją przy ulicy Kołłątaja **przeprowadziłem do domu 46. Zamarstynowska,** zmieniłem firmę na **„Piekarnia Zdrowia“** Karola Jodłowskiego przy ul. Zamarstynowskiej 46. [7357-4-1]

HERBATA ZE SŁOŃCEM.



Główny skład

na Austro-Węgry

D. IWANOWSKI

(7335-8-3) **LWÓW**

ulica Trybunalska nr. 1.

Cenniki i próbki gratis i franco.

✻ ***Co jest Chleb św. Antoniego?*** ✻

Dokładny opis, jako i jeden zeszyt Chleba rozsyła **Księgarnia Katolicka, Poznań,** Rynek 53

za darmo

każdemu, kto poda swój adres.

(7292-10-9).



PORCELANA,

SZKŁO, SAMOWARY, HERBATA.

Kazimierz Lewicki

Trybunalska 6.

Illustrowane cenniki gratis i franco.

[7336-8-4]

Nowo otworzony magazyn.

Nowości wełniane na suknie damskie

polecają

S. Kuszczak i R. Zubik

Lwów, plac Halicki l. 1. (7339-6-2)

CENY NAJNIŻSZE.

Nowa gałęź przemysłu krajowego.

Papier c. k. uprzywilejowanej fabryki bibułek cygaretowych w Sassowie,

istniejącej od roku 1865 przerabia

na bibułki w książeczkach i tutki cygaretowe

wyłącznie znana firma

S. Wierusz NIEMOJOWSKI

WE LWOWIE

Fabryka Sassowska wysyła dotychczas bibułki jedynie tylko za granicę, wyrobami swoimi zyskała rozgłos światowy.

Oryginalne papierosy importowe z Egiptu i Turcji wyrabiane są przeważnie **z Bibułki Sassowskiej.** Krocie idą za granicę, a obcy bogacą się naszym groszem, zasypując nas lichymi swoimi wyrobami.

Nie bogaćmy zagranicznych przemysłowców, kupujmy odtąd bibułki i tutki cygaretowe z papieru Sassowskiego wyrobu,

S. Wierusz Niemojowskiego we Lwowie.

Bibułki i tutki cygaretowe z papieru **Sassowskiego** wyrobu S. Wierusz Niemojowskiego, są do nabycia we wszystkich handlach i c. k. trafikach, o ileby zaś takowych nie było, uprasza się odnieść o nie wprost do fabryki. Książeczki wyrabiane są w kilku gatunkach i formatach w cenie po 1, 2, 5, i 10 ct. za książeczkę, tutki zaś od 12 do 18 ct. za 100 sztuk. Stwarzam nową gałęź przemysłu krajowego, która dostarczyć może zarobku setkom naszych robotników, a powodzenie i rozwój tego przedsiębiorstwa opieram na poparciu szerszego ogółu.

☞ Każda etykieta zaopatrzona jest firmą **S. W. Niemojowski, oraz napisem Sassów.** (7340-24-2)

S. Wierusz Niemojowski Lwów, Wałowa 25.

KOKS! KOKS!

KOKS!

Na bieżącą porę roku poleca się

☞ KOKS ☜

jako najtańszy i najlepszy materyał do celów kowalskich i opału.

Przy odbiorze najmniej 5 cetnarow — 2·50

za dostawę do domu nie liczy się.

ZARZĄD

Zakładu gazowego miejskiego

we Lwowie.

7328-12-6

Celem położenia tamy nadużyciom niektórych restauratorów, mam zaszczyt podać do publicznej wiadomości, że

Piwo okocimskie

sprzedają na szklanki tylko następujące firmy:

Baum A. Hotel Warszawski **Arnold N.** Rynek. **Arnold Wilhelm,** Batorego 18, **Władysław Bukalski,** Szeptyckich **Cellerin Wilchelm** ul. Wałowa 9. **Józef Ehrlich,** kawiarnia teatralna, **Drucker Eljasz,** ul. Grodecka. **Jakób Fried.** Rynek 13., **Grünfeld Adolf** Janowska 7. **Wilhelm Hellman,** ulica Kaźmierzowska, **Herold Antoni** Sykstuska 14, **Józef Jankowski,** ulica Halicka, **Kraus Adolf** Skarbkowska 9, **Kostkiewicz August,** ul. Wałowa 13, **Władysław Kozłowski,** ul. Gródecka l. 79., **Michał Landes,** ul. Skarbkowska l. 4., **Jakób Landes** ul. Halicka, **Lemel S.** Grodecka l. 54, **Löwenheck Jakób,** ul. Trybunalska, **Jan Ludwig,** ul. Krakowska l. 7., **Naftuła Toepfer,** ul. Trybunalska l. 12. **Pomeranz** Rynek 7, **Karol Przybylski,** ul. Teatralna, na przeciw kościoła Jezuitów, **Pietrzycki Edward** ul. Pańska, **Abraham Rothberg,** ulica Kaźmierzowska pod „Złotym capkiem“, **Antoni Rudziński,** restauracja kolejowa, **Samuel Reich** Rynek, 5, **Hermann Salzberg,** ul. Kołłątaja, róg ul. Kaźmierzowskiej, **Rothberg Maks** ul. Gródecka l 20, **Schwarzer Osias,** ul. Grodecka. **S Stoff,** ul. Sobieskiego, **Stelmachów Jan** ul. Chorążczyzna 6, **Sonnenschein Dawid** róg Gródeckiej i Solarni **S. B. Tänzer,** Chorążczyzna l. 23. **Teofil Teichman,** Dominikańska l. 2. **Ważny Jan** Czarneckiego, **Wolisch K.** ul. Grodecka **Zuckermann,** ul. Zimorowicza l. 18 **Zukermann S** ul. Leona Sapiehy. **Życzyński, L.** róg ul. Mikołaja i ul. Zyblikiewicza. **Zimmet L.,** Kazimierzowska.

Główne zastępstwo i skład piwa beczkowego u pp. **Dzyasza Wixla i Syna** ul. Bogusławskiego l. 13. Telefon nr. 6.

Skład piwa flaszkowego u p, **S. Wiesera** ul. Sykstuska l. 14. Telefon nr. 149.

Na przyszłość ogłaszać będę każdej niedzieli w dziennikach lwowskich nazwiska restauratorów, którzy piwo okocimskie sprzedają, a nadto zastrzegam sobie wystąpić w drodze sądowej przeciwko sprzedaży obcego piwa, pod marką okocimskiego. (7224-10-9).

Jan Götz, browar w Okocimie.

Premiowane

własnych zbiorów I. kl. wina **Heygelja-Szamorodne**—a mianowicie: stare **kuracyjne Tokaje** — ordynowane przez **najpierwsze** powagi lekarskie, **wedle świadectw** — rozbierane w Paryżu przez pierwszych specjalistów z współudziałem przezacnego Pr. Gałęzowskiego, otrzymały najwyższe premie — zaszczycone używaniem przez Najdos. Arc. Salwatorów — Jego Ex. Arc. Issakowicza — Ex Prezyden Smolkę i u wybitnych Osobistości — są do nabycia (7321-5-5) u właścicielki

Anny Neupauer

ul. Kochanowskiego l. 6 we Lwowie.

Bałaban i Apfelgrün

w Stryju

Rok założenia 1843.

HANDEL

korzeni, delikatesów, herbaty,

oraz wszelkich gatunków starych i zwykłych **WIN** w najlepszej jakości po cenach najtańszych, poleca się Szanownej publiczności, ręcząc za sumienny towar. (7350-4-2)

Gorzelnie, Browary, Młyny, Tartaki

PERKUN Spółka komand. Fr. Pietzscha

Fabryka maszyn — Lwów (Podzamcze)

Wielka odlewarnia żelaza ul. sw. Marcina l. 11. (7331-20-4)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: **Fr. Ks. Kowaliszyn.** Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.